

MEANDRY POLITYKI - felieton Michała Stefańskiego w audycji 4 lutego 2018 roku.

NIE WYSTARCZY MIEĆ RACJĘ

Redaktor Michał Szuldrzyński w ostatniej „Rzeczypospolitej” napisał tak: „Ostatni tydzień był lekcją realizmu pokazującego, że dobre chęci, a nawet moralne racje, za którymi nie idzie jednak pełen profesjonalizm i dobre przygotowanie, mogą [...] wywołać trzęsienie ziemi, po którym przyjdzie tsunami, czyli kataklizm, którego efekty będą dokładnie odwrotne od zamierzonych”. Mówiąc prostą polszczyzną – chodzi o to, że ktoś bardzo ważny w Warszawie przesadził, przedobrzył, mając rzecz jasna jak najlepsze, patriotyczne zamiary. Rezultaty będą do przewidzenia. Co innego jest łupnąć grzywnę jakiemuś nietrzeźwemu Niemcowi czy Łotyszowi, który w piwiarni będzie dowodził, że wg. niego rzekome „polskie obozy” były. A zupełnie czym innym będzie udowodnienie przed polskim sądem, że jakiś profesor czy dziennikarz amerykański czy (powiedzmy) japoński pisząc to czy owo miał zamiar poniżyć naród polski pisząc o antyżydowskich ekscesach popełnianych czasem przez Polaków. Sędzia dostanie do ręki bardzo szeroki tekst ustawy, w której to on i nikt inny będzie musiał najpierw ustalić, czy opisywane zdarzenie w ogóle istniało – bo jeśli tak, to mówienie o nim jest niekaralne. Potem może pojawić się problem, czy podstawić go można pod zbrodnię przeciw ludzkości, przeciw pokojowi, czy jest to zwykła zbrodnia wojenna. Już na poziomie faktów mogą wystąpić problemy, jak to można było zaobserwować w ostatnich siedemdziesięciu latach. Nie zazdroszczę sędziemu, na którego będą wywierane naciski aby skazać publicystę nie za konkretne użycie jasnego terminu („polskie obozy” itd....), bo to jest akurat łatwe do ustalenia. Ale co zrobić kiedy rzecz mogłaby dotyczyć ujawnienia jakiegoś nowego okropnego incydentu z dawnej historii jakiegoś regionu czy miasteczka. Jak zawsze – kilka płotek będących nierozważnie na terenie Polski wystąpi w roli kozłów ofiarnych. Wszyscy inni – tj. 99% oskarżonych – to będą polscy i zagraniczni pisarze, publicyści, działacze itp. Owi celebryci z pomocą adwokatów (albo i bez) wykażą, że chodziło im tylko o badanie prawdy historycznej, albo o twórczość artystyczną (np. w dziedzinie fotografii, czy poezji). Nikt, ani ja, ani najsłynniejsi prawnicy nie wyobrażają sobie sądu w USA czy Wielkiej Brytanii zasądzającego ekstradycję z oskarżenia art. 55 Ustawy o IPN. To się nie stanie nigdy i prędzej czy później owa ustawa będzie zawężona, aby nie powstało wrażenie wybiórczości w praktyce polskich sądów. Albowiem wszelka wybiórczość kłóci się z poczuciem sprawiedliwości.

Próbując uprościć i wyjaśnić to i owo z tego całego bigosu w aktualnych stosunkach polsko-żydowskich, jak też relacji Polska – reszta świata należy na samym początku zrobić jedno. Konieczne jest odrzucenie dwóch skrajnych grup, którym nic wytłumaczyć się nie da... bo już „WIEDZĄ SWOJE”.

1. Po stronie izraelskiej, do takiego wciąż wpływowego lobby należy przewodniczący Parlamentu w Jerozolimie (czyli Knessetu) niejaki Yuli-Yoel Edelstein, który prawie ze złośliwą satysfakcją podkreślił dla niego oczywisty fakt, że „te obozy były przecież polskie” (!!). W kołach nieprzyjaźnie nastawionych do Polski i Polaków pokutuje też zarzut, że strona polska robi wszystko co się da, aby odwlec wypłatę odszkodowań za majątek utracony w czasie II Wojny Światowej.

2. Po stronie polskiej jest rosnąca w siłę – choć nadal mniejszościowa – grupa - (nazwijmy ich) judeo-sceptyków, neo-endeków, którzy widzą w ostatnich wydarzeniach prowokację nacjonalistów izraelskich i potężnych organizacji światowych, jak Żydowsko-Amerykański Komitet Akcji w celu wydobycia od polskich władz co najmniej 60 miliardów dolarów odszkodowania za stracone mienie w Łodzi, Krakowie czy Warszawie. Ani Niemcy pochodzący z Wrocławia ani polscy przesiedleńcy ze Lwowa o takich sumach nie mogą nawet pomarzyć.

Jeszcze jest trzecia grupa – daleko mniej skrajna i raczej międzynarodowa – która nie może się nadziwić temu, jak umiejętnie niekwestionowany lider Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński prowadzi swoją partię do całkiem prawdopodobnego zwycięstwa za niecałe 2 lata. Jeżeli porównać duszę przeciętnego, doświadczonego życiem rodaka do ośmiostrunowej gitary - to prezes PiS-u grał już prawie na wszystkich strunach polskiej duszy. Na początku mówiło się o Polsce w rzekomej ruinie zmagającej się z nędzą, potem tematem na cały rok byli złodzieje i obrońcy koryta, był też zdemoralizowany i zgniły Zachód, dość często pojawiali się uchodźcy roznoszący mikroby, a ostatnio – po dłuższej przerwie – wraca na wokandę temat światowego spisku, między innymi żydowskiego. Jest to temat wciąż nośny i może dlatego prawie na pewno w najbliższych tygodniach sondaże PiS-u posybią w stronę 50%. Zresztą trudno odmówić wagi żadnemu z tematów; w każdym są przecież elementy prawdy. Jednakże już wiadomo, że senator Anna Maria Anders i podobni do niej prawicowcy byłiby zwolennikami mniejszego rozgłosu, mniejszego szumu wokół bronięcia polskiej godności. Ale nie prezes Jarosław. To on chciał aby tekst ustawy o IPN wybrzmiał w całej ostrości. Dla świata ma to być dowód na polską suwerenność. Dla polskich wyborców ma to być zachęta aby jeszcze raz uwierzyć jego nieustępliwej strategii. To dlatego, w budynku na Nowogrodzkiej paliły się światła do 2 w nocy, kiedy (jak mówią przecieki)

prezes zdołał wymóc na wahającym się Komitecie Politycznym rządzącej partii wersję ostrą ustawy. Przecież od początku wiadomo było, że data głosowania w Senacie jest zła, że będą protesty, a może i demonstracje, że tekst w aktualnym brzmieniu będzie uznany za próbę rozciągnięcia jakiejś cenzury na zagranicę – no i to jeszcze, że prasa zachodnia nie przepuści takiej gratki żeby zmasakrować intencje napisania tak nieprecyzyjnej ustawy.

I rzeczywiście. Znany, opiniotwórczy „Washington Post” przywitał poranek dnia następnego (chyba soboty) prowokującym tytułem: „Polskie obozy śmierci”, a był to tytuł wstępniaka od redakcji. W krótkich żołnierskich słowach liberalni redaktorzy wyłożyli kawę na łąkę, a) że zdają sobie sprawę z prowokacji dziennikarskiej, której się dopuszczają, b) że dobrze wiedzą, iż to nie Polacy nadzorowali obozy koncentracyjne, c) jest im wiadome, iż Polska była pierwszą ofiarą zbrodniczego niemieckiego narodowego socjalizmu i jego wodza Hitlera, d) że wiedzą też o prawie 7000 polskich drzewek zasadzonych w Yad Vashem w Jerozolimie. Dla nich, jedyna różnica ma polegać na tym, że nie będą milczeć jeśli w przyszłości, przypadkiem natkną się na ślady zbrodni jakiegoś koszmarnego typu narodowości polskiej. I to jest ta jedyna różnica, być może trudna do pojęcia z perspektywy hotelu sejmowego na ulicy Wiejskiej w Warszawie. Dlatego też - moim zdaniem – ma rację Jan Olszewski i wielu innych zasłużonych rodaków, machających ręką przed telewizorem i mówiących z troską w głosie – chcieli dobrze, a wyszło – jak zawsze. Konkluzje z wydarzeń ostatniego tygodnia są dwie: 1) Brońmy dobrego imienia narodu, z którego się wywodzimy. 2) Nie sztuka mieć rację. Jeszcze trzeba ją umiejętnie przedstawić światu.